POZNAŃ, 14 XI 1948 r. ROK III

ŚWIAT
ILUSTROWANY DODATEK TYGODNIOWY
Nr 46 Głosu Wielkopolskiego

JADWIGA ŻEREBECKA

Kobiety Wschodu — Persja

Odrębny typ kobiety Wschodu przedstawia obecna Persjanka. Mała, drobna, szczupła o dużych czarnych oczach, gęstych brwiach i długich rzęsach, o śniadej cerze i miłym, ciekawym spojrzeniu. Ruchy jej są pełne harmonii, stąpa lekko, zwinnie, zda się że niesie dzban z wodą na głowie tak, jak jej prababki, więc trzyma się prosto i kroczy z uwagą przed siebie. Jest przecież na ulicy — a tu obowiązuje pewna forma, nakazująca powściągliwość zachowania się. Biada, jeśli Europejczyk o tym nie wie i spróbuje zaczepić Persjankę przygodnie! W tej chwili, błyskawicznie znajdzie się Persobrońca, który rozpocznie bójkę na noże w obronie skrzywdzonej rodaczki. Amerykanie przybyli do tego kraju nie chcieli wnikać w jego życie obyczajowe i bójki takie często można było widzieć na ulicach miasta Isfahanu, dawniejszej stolicy Persji.

Persjanka zaś obojętna, opanowana, szła dalej spokojnie, nie dając znać po sobie co myśli, nie okazując najmniejszego zdenerwowania zajściem, zawsze mile uśmiechnięta i tylko w rozszerzonych źrenicach oczu można było wyczytać: „co się właściwie stało i co ten człowiek chciał ode mnie?"... Szła dalej powoli na „bazar", aby kupić błyskotkę na rękę. Świecidełek była tak ogromna ilość, że wybór nie był łatwy. Oglądała więc nową rzecz ze wszystkich stron, kupowała i czekała tej chwili, pełnej radości w domu, gdy będzie mogła kupioną bransoletkę włożyć na rękę. Persjanka lubi nosić błyskotki! Zamożniejsze mają wszystko ze złota, biedniejsze ze srebra, celulojdu i różnokolorowej masy. Wyrobów tych jest pełno w Persji. Rzeczy te jeszcze przed wojną sprowadzano z Niemiec.

Z „bazaru" wracała do domu, do własnego domu, otoczonego wysokim, glinianym murem, który chronił życie jej przed ciekawymi i żądnymi wrażeń obcokrajowcami. Ciężka, okuta brama broniła dostępu do tej prowizorycznej twierdzy. Kobieta stawała przed bramą, i w umówiony sposób stukała mosiężną kołatką w drzwi, które zaryglowane od wewnątrz, odmykały się po usunięciu rygla i w głównym wejściu stawała stara kobieta z dzieckiem na ręku. To matka Persjanki lub jej męża. Wszystkie żyją razem i wspólnie dzielą dolę i niedolę życia.

Po wejściu na podwórko, na plan pierwszy zwracała uwagę przybysza prostokątna sadzawka, o czystej lazurowej wodzie, w której myją naczynia od herbaty. biorą wodę do prania bielizny lub w tropikalne gorąca kąpią małe dzieci.

Wobec przybysza z Europy, a zwłaszcza wobec Polaków, Persjanka jest życzliwie usposobiona. Z początku nieufna, gdy bliżej pozna, staje się bardziej serdeczna i gościnna. A gdy zaprosi do swojego domu, zaraz podaje doskonałą herbatę w maleńkich szklaneczkach z cukrem w kostki na spodeczku, zaraz przynosi najrozmaitsze bakalie, orzeszki i owoce. Radio gra a przybysz rozmawiając po rosyjsku lub angielsku z panem domu, uśmiecha się do kobiet, które odwzajemniając się tym samym, podsuwają różne wschodnie słodycze pełne rozmaitych korzeni.

Persjanka jest cicha, spokojna, ma poczucie własnej godności, a w pożyciu rodzinnym jest niekłótliwa. Jej dom i dzieci są dla niej całym światem. Nie bierze udziału w życiu politycznym, uspołecznienie jej jest ograniczone do roli wystąpień na weselach jej znajomych lub pogrzebach rodziny. Dla biednych, całkiem biednych, żebraków, ma uśmiech politowania połączony z pobłażaniem jeśli widzi, że Europejczyk chwyta za portmonetkę, aby dać parę „rialsów" natrętnie czepiającym się i obejmującym za kolana dzieciom lub w poprzek chodnika stojącemu żebrakowi, wyciągającemu rękę po jałmużnę.

Ona wie, że żebracy są nieodłączną częścią społeczeństwa perskiego, tak wiekową, tak zrośniętą z całym życiem ulicy, że w myśl wierzeń koranu „tak być musi", uważa za rzecz całkiem naturalną, gdy stary oślepły dziad zawodzi różne pobożne pieśni, siedząc na moście lub gdy wiekowa babulinka siedząc cichutko w wgłębieniu domu jęczy piskliwym głosem o datek.

Jej myśl nie sięga szerzej i głębiej, aby pobudzić refleksję i zastanowić się nad ciążącym pytaniem: „Kto opiekuje się nędzą w Persji" lub „jakby zaradzić istniejącemu złu, które jest tak powszechne?".

Ona ma swoje troski rodzinne, które bardzo wcześnie, bo od 15 roku życia absorbują ją zupełnie, gdy prawie jako dziecko jeszcze musi wyjść za mąż za człowieka, którego nie zna, a którego przeznaczyli jej rodzice i rodzina. Mimo wszystko cieszy się zamążpójściem, albowiem rodzice dają jej wtedy „posag" — wiano na nowe gospodarstwo. Jaki będzie ten „posag", wszystkie znajome będą mogły przekonać się naocznie gdy bracia jej i jej męża poniosą te bogactwa ulicami miasta w ciężkich skrzyniach, przytroczonych do wielbłądów, osiołków lub położonych na dwukołowym wozie tzw. „arbie".

Co za radość, co za duma, gdy posag ten będzie zawierał wielkie perskie dywany, małe stołki, a na okrągłym, drewnianym wierzchu stołu, będą ustawione palące się lampy naftowe, zaświecą świeczniki, które dekorują liczne upieczone ciasta i bakalie ubrane odpowiednim kremem.

Wszystko musi odbywać się w należytym porządku.

Sunie więc pochód ulicami miasta... kroczą poważnie osiołki, jeden za drugim, niosąc tobołki pełne tajemniczych skarbów przyszłej panny młodej, idzie kiwając się charakterystycznie sędziwy wielbłąd dostatecznie objuczony, za nim idą mężczyźni niosąc lampiony na okrągłym dnie od dużej beczki. Wszystko jest bardzo ciężkie, więc idą cicho spokojnie, przerywając powagę pochodu nawoływaniem połączonym z uderzeniem pod żebro osiołka, który pragnie odpocząć i stanąć na chwilę, bo ciężar jest zbyt ważki na jego cienkie nogi.

Wówczas Persjanki wylegają na ulice miasta, wychodząc z swoich zacisznych domków — stare Persjanki przywdziewają długie szale na głowę, zakrywają nimi całą twarz, zostawiając wąziutką szparkę dla jednego oka, które wszystko widzi i wie.

(Stąd właśnie powstało u nas przysłowiowe „robienie perskiego oka").

A korowód idzie przez ulice miasta i znika na zakręcie drogi... Wtedy i one wszystkie jakby na dany znak pierzchają poza mury swoich pałacyków, will i domków.

Zamyka się brama i tylko dzieci przez szpary w murze ciekawie przypatrują się ruchowi ulicznemu, który z powrotem nabiera cech normalnych, powszednich, jednakowych, niezmiennych...

Most Siosepol

KAZIMIERZ MARTYNOWSKI

KORESPONDENCJA WŁASNA „GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO"

W KRAINIE ESKIMOSÓW

— wiecznych sniegow i białych niedźwiedzi

Hamilton, w październiku 1948 r.

Przed kilku dniami dotarł do mnie wycinek „Głosu", zawierający moją korespondencję pt. „Kanada pachnąca... rybami". Z uwagi na to, iż zapowiedziałem tam napisanie przy następnej okazji coś niecoś na temat życia Eskimosów, przeto spieszę spełnić ten miły obowiązek. A nadarzyła się akurat okazja nie lada. Przed kilku dniami powróciła z obszarów arktycznych ekspedycja naukowa hamiltońskiego uniwersytetu. Uzyskanie rozmowy z jednym z uczestników wyprawy nie nastręczało specjalnych trudności. Nienotowane wrażenia tej rozrozmowy postaram się streścić w obszernym skrócie.

Na wstępie należy zaznaczyć, że północne, podbiegunowe tereny od 60 stopnia szerokości geograficznej nie są jeszcze zbadane dokładnie. A przynajmniej na półkuli zachodniej są one pełne tajników i stanowią atrakcyjny ośrodek zainteresowania uczonych całego świata.

Na terenach tych żyje w niesłychanie prymitywnych warunkach dziwny naród a właściwie szczepy ludzkie nie związane ze sobą jakimiś węzłami na-

Tak odbywa się w tym kraju łowienie ryb — tego codziennego pożywienia koczowniczych rodzin eskimoskich. Bo upolowanie niezwykle ostrożnego i podejrzliwego niedźwiedzia należy do wypadków rzadszych i wtedy jego mięso zjada się raczej podczas świąt.

rodowymi. Jedynie poszczególne osiedla mają pewną organizację i to tylko te bardziej na południu, gdzie dotarła już w pewnej mierze cywilizacja ze swoimi zdobyczami. Osiedlem takim jest na wpół ucywilizowane miasteczko eskimoskie nad północną częścią zatoki hudsońskiej w niewielkiej odległości od koła podbiegunowego — Pangnirtung. Obok eskimoskich namiotów ze skór zwierzęcych latem i brył lodowych zimą istnieje tam murowany szpital, dom-mieszkanie doktora, gmach urzędu gubernatorskiego, sklep ze wszystkimi towarami i kościół anglikański. Im dalej na północ, tym osiedla są mniejsze, prymitywniejsze i mieszkańcy, aczkolwiek łagodnego usposobienia, żyją w stanie na wpół dzikim.

9 miesięczna zima

Nikt dotąd nie zdołał dokonać tam spisu ludności w europejskim tego słowa znaczeniu i nikt nie jest w stanie tego dzieła dokonać. Nie zapominajmy bowiem, że na tym obszarze zima trwa od 6 do 9 miesięcy w ciągu roku, że przez 4 miesiące słońce wcale nie świeci (zorza polarna daje nieco światła), że nawet podczas trzymiesięcznego lata nie jest ciepło choć w tym czasie słońce w ogóle nie zachodzi. Ponadto Eskimosi ciągle wędrują z miejsca na miejsce w poszukiwaniu lepszych terenów łownych i możliwości egzystencji. Któż zatem zdoła dokonać spisu w tych warunkach, przy zimnie dochodzącym do 60 stopni poniżej zera? Liczby więc Eskimosów nie dało się dotąd ustalić. Przypuszczalnie żyje ich nie wiele ponad 100 tysięcy.

Pochodzenie rasowe Eskimosów grenlandzkich, mieszkańców Ziemi Baffina, północnej części stałego lądu Kanady i północnej Alaski też nie jest jeszcze ustalone w stu procentach. Na podstawie ich małego wzrostu, dochodzącego w rzadkich wypadkach do 160 cm, szerokich twarzy i nieco skośnych oczu uczeni wysuwają tezę o japońskim pochodzeniu mieszkańców podbiegunowych krain.

Nie wesoło kształtują się warunki życia Eskimosów. A jednak zapytani czyby chcieli opuścić te niewdzięczne tereny, odpowiadają stanowczo — nie! Przywykli po prostu do tego życia, do ciągłej walki z przyrodą, do zdobywania pożywienia za pomocą prymitywnych narzędzi, do zamieszkiwania w chatach zbudowanych z lodu, do ubrań uszytych ze skór niedźwiedzich i foczych, do niepłacenia podatków. Gdyby im to wszystko pewnego dnia odebrano czuliby się na pewno nieszczęśliwymi ludźmi.

Pończochy z rybich żołądków

Najpoważniejszą troską rodziny eskimoskiej to zdobycie pożywienia i zapasu skór zwierzęcych na ubranie. Podstawą bowiem odżywiania jest mięso niedźwiedzia lub foki i ryby a polowanie przy pomocy oszczepów i harpunów (harpun — grot żelazny w kształcie strzały, zaopatrzony w dwa zagięte haki, wyrzucany na sznurze w kierunku zwierzyny czy większej ryby) nie zawsze daje pożądane wyniki. Drobniejsze ryby łowi się znowu w ten sposób, że przebiwszy przeręble Eskimos stoi z oszczepem zakończonym grotem z kości i nadziewa na niego przebiegającą rybę.

Po przyniesieniu zdobyczy wkłada rybę lub mięso do kotła, pod którym pali się oliwą wielorybią. Oliwa służy także do oświetlania mieszkań. Skóry zwierząt i żołądki rybie zaś do przygotowania odzienia. Z flaków potrafią robić Eskimosi — sobie tylko znanym sposobem — doskonałe nici, za pomocą których i igieł z kości szyją ubrania ze skór, a modne pończochy z żołądków rybich. Ciekawym byłoby usłyszeć zdanie europejskich i amerykańskich modniś o takich pończochach, które w niczym nie przypominają nylonów czy perlonów...

Mycie — rzecz nieznana

W życiu ludzi cywilizowanych nie do pomyślenia jest brak codziennego mycia, czesania, golenia i kąpieli. Tymczasem wśród koczowniczych plemion eskimoskich te rzeczy są w ogóle nieznane. Małe Eskimosiątka od samego urodzenia nie znają kąpieli. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że są one strasznie brudne. Do utrzymania czystości dziecięcego ciałka służy matczyny język. Liże ona swoje dzieci tak jak kotka i w ten sposób utrzymuje ciałka w czystości.

Mimo braku higieny jakimś dziwnym prawem natury śmiertelność wśród Eskimosów jest bardzo mała. Członkowie ekspedycji spotykali bardzo wiele osób obojga płci, liczących sobie po

Mimo 40-stopniowego mrozu para brzdąców wyszła z domu, by pobawić się na świeżym powietrzu.

160 lat i więcej. Być może, iż mięso ryb z mórz podbiegunowych, posiadające wielkie ilości fosforu, jest jedną z dodatnich przyczyn długowieczności. Być może, lecz dużo jeszcze czasu upłynie, nim dojdziemy w tej dziedzinie do pewnych naukowych ustaleń. Na razie musimy poprzestać tylko na przypuszczeniach.

Budownictwo mieszkaniowe

u Eskimosów jest niezwykle proste i nieskomplikowane żadnymi planami i projektami, jak w krajach cywilizowanych. Na południu tej podbiegunowej krainy budują domy mieszkalne — zależnie od warunków lokalnych — z drzewa lub z głazów kamiennych. Bardziej na północy zaś tylko z brył lodowych, układanych w koło w ten sposób, że domek przybiera kształt kopuły. Otwór na drzwi pozostawia się zupełnie nisko i wchodzenie lub wychodzenie odbywa się „raczkiem". Wejście osłonięte skórą niedźwiedzią niby firanką, stanowi zarazem okno. Ponieważ w tak zbudowanym domku jest ciepło, lód jest doskonałym izolatorem, a ponadto gotuje się tam pożywienie i w wydrążonych kamieniach pali się oliwę celem oświetlenia wnętrza, przeto budowla wystarcza zaledwie na tydzień lub najwyżej dwa. Po tym okresie trzeba budować nowy i tak w kółko Macieju.

Komunikacja

Ciekawą dla każdego będzie zapewne sprawa komunikacji wśród tych gór śnieżno-lodowych. Otóż Eskimos podróżuje przez trzy miesiące letnie łodzią, natomiast w ciągu długotrwałej zimy tylko i wyłącznie saniami ciągnionymi przez psy. To jest jedyny środek lokomocji i dlatego psy (specjalna rasa eskimoska wyhodowana z wilków), otaczane są nie byle jaką opieką. Gdy brak żywności, ludzie sami nie jedzą ale psom dają normalne, codzienne porcje. Bez psów

Charakterystyczne stroje eskimoskie z pięknie wyszywanymi wzorami. Kilka skór zwierzęcych i żołądków rybich, igła z kości, nici z flaków lub z cienkiej skóry i odświętne kostiumy tych dwóch sióstr gotowe. Za chwilę Eskimoski wsiądą na sanie i „pieski" zaprzęg zawiezie je w ciągu 5 godzin do odległego o 20 mil kościoła anglikańskiego.

bówiem Eskimos jest unieruchomiony; nie może udać się na polowanie, nie może dostarczyć rodzinie świeżego mięsa i ryb. Słowem, jako słaby na ogół piechur stoi wtedy bezradny. Toteż 6 do 8 psów i odpowiedniej wielkości kilka par sań, to nieodzowny i najważniejszy inwentarz żywy i martwy rodziny eskimoskiej. Dla porównania należy dodać, że Eskimos bez psów, to tak jak polski chłop na 10 hektarach bez konia — wyzyskiwany przez zamożniejszych w niemożliwy do uwierzenia sposób. Bezinteresowna pomoc sąsiedzka (taka jak w Polsce) jest pod biegunem nieznana. — W walce o byt, według praw tamtejszych, każdy ma radzić sam sobie. Jakże inaczej i lepiej jest po drugiej stronie bieguna — w północnej Syberii Radzieckiej, gdzie Eskimosi pracują już od dawna zespołowo — ale to sprawa do osobnego omówienia...

Łóżek, tapczanów, pieców i innych urządzeń domowych Eskimosi nie znają. Za łóżko służy im bryła lodu zasłana skórą niedźwiedzia polarnego. Jednym słowem — epoka człowieka jaskiniowego.

Tak, Kanada, jak już kiedyś pisałem, to kraj wielkich kontrastów. Wielkie miasta, bogactwo i luksus białych z jednej strony, a nędza, bezprzykładna nędza szczepów indiańskich i eskimoskich z drugiej. Kultura i cywilizacja zachodnia nie dla wszystkich. A tak dużo mówi się i pisze o równości...

Trzeba będzie przełamać jeszcze wiele oporów, zanim w imię zasad humanitaryzmu doprowadzi się opóźnione w kulturze ludy do pewnego poziomu. I nie zmieni tego faktu coraz częściej stawiane w Kanadzie pytanie: „Z Anglią czy z USA?" Bo tak w jednym jak i w drugim wypadku odbywać się będzie bezwzględna eksploatacja ludów kolorowych. Nic się nie robi teraz i zapewne nie będzie się robić w przyszłości w kierunku ich kulturalnego podciągnięcia wzwyż.

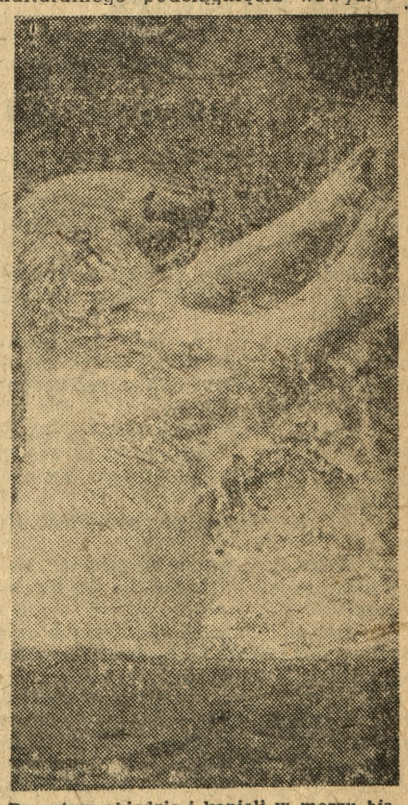

Po sutym obiedzie i kąpieli w morzu biały miś wychodzi na skałę, aby nieco odpocząć. Nie przeczuwa, że za najbliższym załomem czeka na niego z oszczepem i harpunem łaknący dobrego mięsa — Eskim-

Co to jest kultura?

Artykuł niniejszy traktuje problem kultury raczej sprawozdawczo i w ujęciu historycznym. Pragniemy aby posłużył on jako wstęp do dyskusji na naszych łamach, podjętej ostatnio przez szereg pism tygodniowych i codziennych na temat palących w Polsce Ludowej zagadnień sztuki i kultury, jej upowszechnienia, najistotniejszego związania z masami pracującymi. Szczególnie chodzi nam o to, aby poruszone zostały kwestie kulturalne, dotyczące wojew. poznańskiego — ich praktyczne dotychczasowe rozstrzygnięcia i wskazania na przyszłość.

Redakcja

W sporach o pojęcie kultury, definicję jej precyzowano w różny sposób. Na temat kultury najwięcej teoretycznych rozpraw pisano we Francji, Anglii, Rosji i Niemczech. W Polsce do teoretyków kultury zaliczyć wypada Stanisława Łempickiego, B. Suchodolskiego, Nawroczyńskiego, Bystronia, R. Pollaka, Chałasińskiego, Obrębskiego i wielu innych, przede wszystkim zaś Stefana Czarnowskiego. Historykami kultury są uczeni takiej miary jak: Al. Brückner (autor czterotomowych Dziejów kultury polskiej, t. 4 wydany dopiero po wojnie w 1946 r.), Stan. Łempicki, Kutrzeba, Komornicki, Kot i inni.

Badania dziejów kultury zależą w dużej mierze od indywidualnych specjalizacji naukowych naszych uczonych, już to w odniesieniu do pewnego badanego okresu kultury, już to w odniesieniu do poszczególnych przejawów i elementów kultury. Historyk zajmujący się przejawami kultury np. w staropolszczyźnie lub zacieśniwszy jeszcze temat np. do wczesnego średniowiecza polskiego, zdefiniuje pojęcie kultury (stosownie do materiału jakim dysponuje) zupełnie inaczej, niż badacz przejawów kultury w czasach nowożytnych. Historyka kultury musi cechować nie tylko ogromna erudycja oraz wiedza tak wszechstronna jak zróżnicowanymi są wszelkie przejawy kultury, lecz w ujęciu, selekcji i wartościowaniu zjawisk kultury musi on przybrać jakąś postawę ideową, a przede wszystkim zdać sobie sprawę — co to jest kultura. Dochodzimy więc do stwierdzenia, że chociaż napisanie historii kultury danego narodu jest marzeniem wielu uczonych, marzenie to jest częstokroć nieurzeczywistnionym pragnieniem z powodu braku dostatecznej wiedzy (teoretycznej i praktycznej) o tym zagadnieniu. Poza tym dyspozycje naukowe, np. specjalne zainteresowania sztukami plastycznymi, muzyką, literaturą, czy piśmiennictwem w ogóle, stwarzają w następstwie silniejsze podkreślenie w całokształcie zjawisk kultury tych właśnie dziedzin, z pominięciem innych równoważnych i nie mniej istotnych, dla wytworzenia sobie obrazu całości. Widzimy więc, że zagadnienie kultury jest pojęciem nie tylko skomplikowanym, ale ogromnie szerokim, jeśli chodzi o zakres poszczególnych jej elementów w rozwoju historycznym.

Stąd definicje uczonych naszych zmierzające do ostatecznego wyjaśnienia co to jest kultura, bywają różnorakie a niekiedy całkiem różne i wykluczające się wzajemnie. Dla zorientowania podam ich kilka, zacząwszy od najpopularniejszej i najczęściej stosowanej, choć bynajmniej nie najwłaściwszej i nie wyczerpujące zagadnienia. Kultura jest to zespół wytworów, świadomie przez człowieka, grupę, naród lub państwo wyprodukowanych. Te zespoły wytworów, popularnie zwykło się dzielić na dwie grupy: tak zwaną kulturę materialną i tak zwaną kulturę duchową. Stosowany tu podział bywa raczej nielogiczny, boć pewne elementy czy zespoły wytworów kultury nie mieszczą się w tych dwóch grupach, albo rozsadzają ten sztuczny podział.

Badania nad tak zwaną kulturą materialną, nad jej historią i rozwojem, w największym stopniu przeprowadzili uczeni radzieccy. U nas, historycy kultury ograniczali się raczej (ze szkodą dla całokształtu zagadnienia) przejawami tak zw. kultury duchowej (sztuki piękne, piśmiennictwo itd.).

Posłuchajmy teraz kilku definicji naszych uczonych na temat kultury:

Stanisław Bystroń w swym studium o „Kulturze ludowej" tak pisze (str. 18): Kulturę musimy ująć „jako zespół treści kulturalnych, ukształtowany w danej grupie społecznej w określonym czasie". Pod pojęciem „treści kulturalnych" rozumie Bystroń pojęcia, które człowiek tworzy, stosunki społeczne (np. stosunek zależności jednostki od jednostki), czynności ludzkie i to zarówno w stosunku do innych ludzi (akcja społeczna), jak i do rzeczy (akcje techniczne). Treścią kulturalną będzie także i każde dzieło rąk ludzkich, a więc zarówno broń, jak potrawa, maszyna parowa, miasto. Treścią kulturalną są wreszcie postawy psychiczne czy to w stosunku do człowieka, czy grupy, instytucji czy nawet i świata zewnętrznego; tak więc miłość bliźniego, miłość Ojczyzny, przywiązanie do zawodu czy szacunek dla władz, a wreszcie także i emocjonalny stosunek do zwierząt, roślin, czy nawet i przedmiotów martwych tuta należą".

Z całkiem innego stanowiska ideologicznego i naukowego definiuje pojęcie kultury Bogdan Suchodolski w pracy: „Uspołecznienie kultury". Do definicji swej dochodzi drogą negacji, a więc wskazania w jaki sposób nie należy pojmować kultury. „Przede wszystkim (str. 59) nie da się pojmować kultury wyłącznie spirytualistycznie jako kształcenia duchowego... Po wtóre nie da się obronić pojmowania kultury jako zespołu wyższych dóbr duchowych, stwarzanych przez artystów i uczonych, a przeciwstawianych tzw życiu... Wreszcie przezwyciężając uroszczenia artystów i uczonych, iż w ich tylko działaniu wytwarza się i trwa kultura, przezwyciężamy zasadę, iż kultura istnieje poza pracą. Kulturę — zdaniem Suchodolskiego — musimy pojmować tak, aby ogarniała ona całe nasze życie, tzn. stanowiła zespół wartości dostępnych realizowania w różnorodnych dziedzinach. Winna ona ogarniać zarówno służbę prawdzie i pięknu, jak obowiązek i trud codziennego żywota wielkich mas ludzkich, rzadkie chwile uduchowienia i dzień powszedni. Musi być w jej królestwie miejsce nie tylko na książkę, obraz lub rzeźbę, ale także i na pług, także i na miecz. Tym jest przecież nasz rzeczywisty byt".

Stefan Czarnowski w swych doskonałych i wnikliwych szkicach o kulturze stwierdza, że „kultura jest dobrem zbiorowym i zbiorowym dorobkiem, owocem twórczego i przetwórczego wysiłku niezliczonych pokoleń (S. Cz. Kultura, 1946, str. 4 i nast.). Kulturą nazywa Czarnowski „całokształt zobiektywizowanych elementów dorobku społecznego, wspólnych szeregowi grup i z racji obiektywności ustalonych i zdolnych rozszerzać się przestrzennie". Zobiektywizowane elementy dorobku społecznego — to są te elementy kultury, które wytworzone w jakimś rejonie posiadają np. pewien styl i zwyczaj ustalony i wspólny tym rzeczom, a stający się wspólnym dobrem szeregu grup ludzkich. Inaczej mówiąc, gdy z jednej strony oderwią się te elementy od jego wytwórcy, czy wytwórców o tyle, że przejęte być mogą przez grupy inne — z drugiej strony, gdy ustalą się one jako wzór niezależny od przypadkowych okoliczności. Np. wzór przedmiotu, ozdoby, obrzędu. Formuła wierzenia, postępowania technicznego, sposobu zachowania się" (str. 14—15).

Naturalnie to określenie, wyczerpując treść pojęcia kultura, nie zajmuje się odmianą i jej klasyfikacją, jak zwykło się mówić np. o kulturze mieszczańskiej i włościańskiej czy ziemiańskiej lub burżuazyjnej i proletariackiej. „Kultura jest zjawiskiem geograficznym. Obejmuje zawsze większy lub mniejszy obszar, na którym grupy różne — częstokroć nawet różnorodne — związane są ze sobą użytkowaniem wspólnych wszystkim dóbr kulturalnych". (ibid. str. 190). Trudno by tu wyliczyć i uszeregować wszystkie dobra kulturalne. Dobrem kulturalnym będą więc i wytwory sztuki, piśmiennictwa i zdobycze socjalne, zdobycze techniki, przemysłu, obrzędy, wierzenia, honor, praca, wola, wiedza itp., z uwzględnieniem okresu, w jakim powstawały rozwijały się i dominowały — mówimy wtedy o kulturze antyku, średniowiecza itd.; z uwzględnieniem geograficznego ich zasięgu i promieniowania — mówimy wtedy o kulturze np. celtyckiej, słowiańskiej itd.; oraz z uwględnieniem poszczególnych grup wytwarzających i posługujących się tymi dobrami — mówimy wtedy o kulturze pewnego regionu, klasy, lub pewnych organizacji, np. kultura huculska, kultura Kościoła rzymskiego, czy wschodniego itp.

B. Z.

Zbliżają się uroczystości 150-lecia urodzin Adama Mickiewicza. Oto słynna ilustracja Andriollego do „Pana Tadeusza" — „Koncert Jankiela"

KULTURA, SZTUKA,

Perspektywa muzyczna dwóch tygodni

Karol jest chory na grypę. Oczywiście nie poszedł na koncert Bandrowskiej — przepraszam: Bandrowskiej, Wisłockiego i Filharmonii. Leżąc w łóżku i martwiąc się „za miliony" nastawia sobie płyty z Toscaninim. W wolnych od muzykowania chwilach przegląda albumy ze swymi powiększeniami z Tatr. Bo Karol od wielu lat wytrwale łazi po Tatrach czy to w deszcze, czy w niepogodę. Fotografuje i powiększa a potem w Puszczykówku przygląda się tym krajobrazom. O! Teraz na przykład ma przed oczyma widok z Wysokiej ku południowi, to znaczy na Liptów. Zaklęśniętą kraina międzygórska — to kawał słonecznej Słowacji. A jeszcze dalej, już poza zasięgiem powiększenia — to Czechosłowacja. Czy też Karol pomyśli sobie o muzyce czeskiej? Zapewne ma w zbiorze płyt „Wełtawę" Smetany ale czy ją kiedy zagra sobie i otoczeniu? Czy w ogóle coś o muzyce czeskiej wie? No więc niechże tak urządzi sobie wieczory, by mógł w najbliższy piątek zjawić się w Auli. Przyjedzie „muzykancka" para z Pragi. Ona jest świetną pianistką, nazywa się Szwihlikowa a grać będzie czwarty koncert fortepianowy G-dur Beethovena. Wraz z nią przyjeżdża dr Wacław Smetaczek. Będzie dyrygował całym koncertem. Ułożył sobie program w ten sposób, że zacznie uwerturą do „Wesela Figara" Mozarta, zaakompaniuje do koncertu fortepianowego Beethovena i sam zaprezentuje dwa dzieła czeskiej muzyki, mianowicie Józefa Suka „Pohadkę" i sławne „Tańce słowiańskie" Dworzaka. W ten sposób posłyszymy dwie nowe „rzeczy" czeskie, jakkolwiek „Tańce" są nam dość znane. Dworzak przyjaźnił się z niemieckim wydawcą muzycznym Simrockiem, który niemal wszystkie jego utwory drukował. Był równocześnie „nadwornym" wydawcą Brahmsa. Dworzak żywił dla mistrza wielką cześć. Simrock zamówił równocześnie u obu kompozytorów albumy „tańców na czteroręczny układ". Brahms miał dostarczyć tańców węgierskich — Dworzak zaś słowiańskich. I tak się też stało a oba zbiory osiągnęły wielką popularność. Rozeszły się w dziesiątkach opracowań i w setkach tysięcy zeszytów po całym świecie. Z oryginału fortepianowego Dworzak zinstrumentował kilkanaście swoich tańców) a było ich w ogóle aż 16!) i dzięki temu orkiestry, zwłaszcza czeskie mają co grać zagranicy.

Dr Wacław Smetaczek ma dziś 42 lata. Urodził się w Brnie a studia muzyczne odbył w praskim konserwatorium. W tejże „złotej Pradze" doktoryzował się z filozofii w zakresie historii muzyki i estetyki. Trzeba wiedzieć, że jest wirtuozem gry na oboju. Będzie miał o czym rozmawiać nasz koncertmistrz Antoni Olejnik w przerwach podczas prób! Smetaczek założył sławny już dziś „Praski kwintet", który obchodzi jubileusz dwudziestolecia istnienia. Jako dyrygent działa Smetaczek lat 15. Kapelmistrzował w Praskiej Filharmonii a potem w praskim radio. Jego specjalnością są wielkie utwory chóralno-orkiestralne w rodzaju „dziewiątej" Beethovena, tegoż „Mszy uroczystej", „Stabat Mater" i „Święta Ludmiła" Dworzaka, „Requiem Mozarta, Liszta „Święta Elżbieta". Dotąd występował w Rumunii, Austrii, Francji, Anglii i w Polsce. Zna go Wrocław, Łódź i Kraków. Obecnie dyrygować będzie w Katowicach, Sopocie, Krakowie i Poznaniu. Nie wątpimy, że zdoła zainteresować sobą i muzyką swego narodu naszą publiczność. Ponieważ jest profesorem praskiego konserwatorium, dyrygentem, oboistą i muzykologiem — będzie aż za dużo okazji, by z nim na tę masę tematów porozmawiać. Obiecujemy sobie bardzo dużo po jego wizycie.

Po „Goplanie" zjawi się na deskach opery poznańskiej popularna „Butterfly" Pucciniego. Dawno nie było jej w repertuarze poznańskim, to też zrozumiałą jest rzeczą, iż publiczność z zachwytem tę melodyjną muzykę przyjmie w krąg swych zainteresowań. Weryzm Pucciniego ciągle jest miły naszemu uchu a operowy zmysł autora „Tosci" nie od dziś wiąże olbrzymie masy słuchaczy w gorące przywiązanie do teatru muzycznego. Dekoracje malował Szpingier i według zapewnień dyrektora Górzyńskiego stworzył prawdziwe nowości artystyczne. Cieszymy się z góry na premierę „Butterfly" i przyjdziemy z Karolem na pewno. Chyba, żeby słuchał transmisji z Włoch. Wtedy pójdę z panną Marią i będę jej podawał chusteczkę do ocierania łez w scenie wyczekiwania przez „Motylka" na łajdaka Pinkertona.

Cyklotymik

Wieczór autorski Jerzego Andrzejewskiego

W ubiegłą niedzielę odbył się jako drugi w nowym sezonie, w ramach popularnych imprez „Czytelnika" wieczór autorski, Jerzego Andrzejewskiego, — laureata tegorocznej nagrody literackiej „Odrodzenia" Autora „Ładu serca" widzieliśmy w Poznaniu już po wojnie na jednym z Czwartków Literackich w A. H., gdzie odczytał kilka fragmentów swojej prozy. Ostatni wieczór autorski był drugim jego występem poznańskim, a 30 wieczorem autorskim. Po przeniesieniu się do Szczecina, kontakty Andrzejewskiego z Poznańskiem staną się niewątpliwie częstsze.

Wieczór, o dużej frekwencji publiczności, zagaił prezes Koła Grodzkiego „Czytelnika" w Poznaniu — inż. Ulatowski. Przedmówca serdecznie powitał Gościa, stwierdzając, iż Jerzy Andrzejewski należy do awangardy współczesnych pisarzy o szerokim kręgu oddziaływania. Potwierdza to głęboki rezonans wśród Czytelników, jaki wywołała ostatnia jego powieść — drukowana również na naszych łamach — pt. „Popiół i diament".

Jerzy Andrzejewski starał się w prelekcji swojej odpowiedzieć na liczne pytania Czytelników, dotyczące jego twórczości.

Autor „Popiołu i diamentu" dał wyraz poza tym swojemu poglądowi, na różnice między prozą międzywojenną a dzisiejszą. Scharakteryzował on zorganizowanie rynku wydawniczego w Polsce, określił charakter prozy międzywojennej jako psychologiczny, powojennej zaś jako realistyczny.

Wojna obok zmiany nastawień światopoglądowych pisarzy przyczyniła się także do zmian reakcji Czytelników książek.

Jerzy Andrzejewski oświadczył w trakcie dyskusji, iż obecnie przygotowuje do druku powieść z czasów okupacji. *(s)*

MARIA PROSIŃSKA

NYLONY

To był po prostu szczyt marzeń Krystyny.

Kupić nylony! Nylony założyć na swoje, zgrabne przecież, nóżki. Nylonami podbić świat!

— Będę je miała i koniec! — powiedziała uparcie i zaczęła wprost żyć dla nylonów.

Ani do kina, ani na lody, ani nawet na spacer, aby nie przyspieszyć zdzierania zelówek. Wszystko z oszczędności — by kupić nylony.

— Cóżeś to Krystyna taka skromna się zrobiła, co? — mówiła teraz często matka przyglądając się córce niedowierzająco.

— Kryśka! Lecno po papierosy dla ojca!

— A dostanę od tatki dziesięć złotych za drogę? — przymilała się dziewczyna.

— Ho! Ho! Pewnie puściłaś już całą tygodniówkę, co? A matce dajesz na wikt tyle ile należy?

— Dobrze, żeś ją stary o to zapytał, bo właśnie w tym tygodniu obcięła mnie na dwieście złotych. Co to dziewuszysko teraz wyprawia? Ja matka, a nic nie wiem. Skaranie boskie z nią!

— Krystyna, Krystyna! — upominał ojciec ze swoją niegroźnie srogą miną. — Uprasuj Krycha koszulę... — prosił Józek pokornie — wieczorem w fabryce zebranie, a matka nie ma czasu...

Krystyna starym zwyczajem przekomarza się z bratem. — Ooo... Od kiedy to twojej piegowatej frelce nie Franka na imię, a „zebranie", co?

Byłaby na pewno z tego domowa awantura, gdyby nie przebiegłość Krystyny i jej zimna krew. — Ależ tak, Józek. Uprasuję chętnie, nawet skarpetki wyceruję i jeszcze ci krawatkę ładnie uwiążę, abyś się France podobał — dodaje szybko widząc chmurną twarz brata — ale... ale ile mi za to zapłacisz?

— Co??? Złodowaciałaś? A możeś ty chora Krystyna? No... ale dam ci, czekaj, niech będzie czterdzieści złotych!

— Józek! Jeszcze bym ci buty wyczyściła na glans! — mówiła obiecująco.

— O kurza twarz! No, ale było nie było, niech stracę! Dam ci pięćdziesiątkę! Tylko powiedz na co to tak żebrzesz bez honoru?

Krystyna najpierw wymawia się gorąco, a potem szepnęła bratu do ucha:

— Chcę zafundować sobie nylony!

Gdy już Józek wiedział o zamiarach Krystyny, to i prędko dowiadywał się o nich cały dom. Siostry z zawiścią patrzyły na przyszłą elegantkę, matka mówiła wciąż o „zmiłowaniu boskim", a ojciec obiecywał nawet uruchomić jakiś wyrób garbarski na niekorzyść Krysinej skóry i groźnie mruczał pod wąsem. — Jak ja ci sprawię nylony, to przez cały tydzień nie usiądziesz!

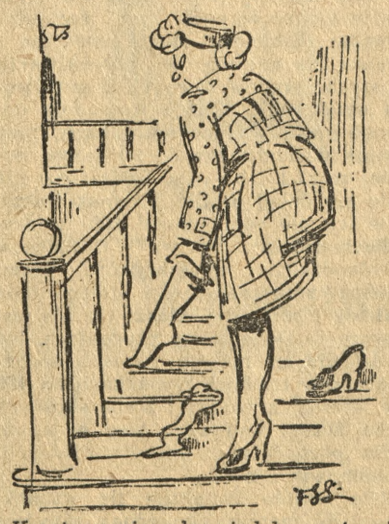

Krystyna nie odpowiadała na to nic — i wreszcie nylony kupiła.

Ciężko jej było wydać jednym zamachem aż trzy „kawałki", które z wielkim trudem zebrała w ciągu czterech miesięcy. Żyła w tym czasie jak pustelnik. Na próżno koleżanki z fabryki namawiały do kina na „Bolero". Był to ich zdaniem najładniejszy film na całym świecie! Nawet muszla lodów od Dall'Asty nie skusiła Krystyny. Nie skusiło ją nic, Krystyna była jak głaz! Wszystko to jednak nie miało znaczenia wobec faktu, że wymarzone pończochy należą już do niej.

— Zobaczą mnie teraz wszystkie dziewuchy i pękną jak banie z zazdrości. Przyjrzą się moim pięknym nogom i oko im zbieleje!

Entuzjazmowała się naiwnie Krystynka.

Była sobota.

Ukradkiem na schodach założone pończochy i przed Krystyną otworzył się wielki świat, do którego wstęp stanowiły nylony.

Ona, Krystyna w nylonach!

Idzie ulicą dumna jak paw, sprężyście wyrzuca przed siebie nogi, głowę podniosła wysoko, nie patrzy na mijających ją przechodniów.

— Muszą mieć baranie miny! Muszą podziwiać moje nogi! — myśli Krystyna.

— Dokąd to teraz iść? Komu się pokazać?

— Wiem! Pójdę do Maryśki.

Nadjeżdża czwórka. Biegnie nasze cudo z nylonami na nóżkach i z umiejętnością poznańskiego podlotka wskakuje do tramwaju.

— Do środka nie wejdę. Zostanę w przejściu, tutaj wszyscy, którzy będą wchodzić zobaczą moje nylony. — Tak postanawia Krystyna.

Czwórka rusza. Z przeciwnej strony ulicy biegnie młody mężczyzna. Wskakuje w biegu do tramwaju i ląduje wprost na... nodze Krystyny!!!

Najpierw pełen bólu okrzyk — O! O! O! — a potem...

— Czyś pan zbaraniał? Coś pan narobił? No patrz pan, patrz! O Boże, Boże! Moje nylony... zupełnie nowe, pierwszy raz... Jak pan nie umiesz skakać po ludzku do tramwaju to chodź pan przynajmniej na swoich nogach, a nie na cudzych!

— Ja przecie nie myślałem.. ja nie chciałem, ja przepraszam... — mówi cicho i pokornie młodzieniec, garbiąc się pod gwałtownym gradem słów

—Przepraszam, przepraszam, a moje nylony to co? To pies? To betka? Pierwszy raz na nogi włożyłam i już je anieli zabrali! Pierwszy raz a „taki" zrobił je na szarb! Co ja pocznę? Tyle pieniędzy!

— Nie kupuj panna takich wariactw, to nie będzie straty — wtrącił ktoś z pasażerów.

Zaraz posypały się komentarze.

— Powariowały baby teraz, panie szanowny, powariowały...

— Tak, tak. Dawniej moja Wikcia pończochy „lewo prawo" przez dziesięć lat nosiła, a dziś, panie, tylko obraza boska w domu przez te diabelstwa.

— Człowiek nie wie skąd brać na to wszystko, panie kochany.

— I po co „taka" kładzie sobie nylony?

— Pytasz pan po co? Ja wiem...

Krystyna złości się krzykliwie.

— O! Widzicie ludzie jaki mądry! Swojej babie co pewnie nogi ma jak od bilardu to kupi i nie zapyta „po co". O! Czy to tylko te mogą nylony

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

Pół godziny rozmowy z Władysławem Walterem

Kto z nas widział Wł. Waltera w Komedii Muzycznej jako grubego wujcia Miecia (w „Jadzi wdowie") , obżartucha dobrodusznego, zaściankowego szlagona, ten uśmiawszy się do łez i zachwyciwszy tą wypolerowaną i wycyzelowaną w każdym calu „kreacją" nie zapomni jej prędko, a pytanie: „Jak on to robi?" nie dawać mu będzie spokoju. Jednak odpowiedź na to: „iskra boża" — wystarczy. „Rola mu podchodzi sama" bez trudu. Zawsze grał rolę charakterystyczne, nawet amantów o odcieniu typowym. — A dlaczego cy-

ze-lu-je swe role tak misternie? — A no, nie spodziewaliście się może: bo kształcił się początkowo na cyzelatora i jak twierdzi: piękny ten fach, dużo mu w zawodzie aktorskim pomógł.

Kto zaś miał okazję przegadania z nim pół godzinki w Ibisie przy „czarnej", tego musiała ująć jego bezpośredniość i szczerość. Jest pełen prostoty w obejściu, a małe jego oczka uśmiechają się życzliwie, czasem figlarnie. Opowiada łatwo i chętnie. O, miałby wiele do opowiadania, ale zatrzymuje się nagle w pół słowa: „Czy ja to wszystko nie za obszernie? Bo po co?" — „Kiedyż to bardzo ciekawe, proszę, proszę dalej!" I któżby nie słuchał chętnie takich cudownych opowieści, jak to młody warszawski uczeń cyzelerski wymyka się ze szkoły codziennie, aby się przemycić na próbę wodewilu, oczywiście tylko jako ukryty w ciemnym kącie niezauważony przez reżysera — widz. Jak party nieugaszoną żądzą dostania się za wszelką cenę do teatru przyjmuje z zachwytem telegraficzną ofertę przyjaciela Pancewicza: „Miejsce w trupie Jarszewskiego — wolne. Przyjeżdżaj Krzyżopol." Gdzieś pod Odessą, na końcu świata! — Bo trzeba wiedzieć — objaśnia Walter — że był to rok 1906, w którym Rosja carska pozwoliła polskiej trupie wyjechać na objazd na Podole, Wołyń i hen na Ukrainę.

I dalej w skrótach i przeskokach rozwija się barwna opowieść: jak mama spakowała duży kosz bielizny i rzeczy ukochanemu synkowi i z błogosławieństwem wyprawiła w daleką, a niewiadomą drogę, jak dojechawszy w końcu do Krzyżopola, nie zastał już trupy, która tymczasem powędrowała dalej, jak musiał zostawić kosz z całym dobytkiem dla uzyskania 3 rubli na dalszą podróż, jak dopędziwszy trupę — otrzymał pierwszą rolę: zastał ją na kołdrze po obudzeniu się w nowym mieście, z tym, że próba jest w południe, a wieczorem przedstawienie! Jak wędrowali przez cały rok o głodzie i chłodzie, z reguły zastawiając rzeczy, aby móc jechać dalej, a nie mogąc nigdy zebrać dość pieniędzy na powrót. Jak w końcu obywatelstwo okoliczne złożyło się na kupienie im biletów do Warszawy. Na progu domu powitała wówczas Waltera matka okrzykiem: „To jest moje dziecko?" i zemdlała na widok jego wynędzniałej postaci. Przez rok odzwyczajał się od jedzenia. Taka to była szkoła.

— Ale nie odstraszyła pana od dalszej pracy?

— Kto raz haczyk połknie, ten od teatru już nie odejdzie. Zacząłem wtedy solidnie się uczyć. Miałem dobry głos. Wstąpiłem do konserwatorium do klasy śpiewu Giustignianiego, a w roku 1910 dostałem angagement do teatru w Lublinie, drugi sezon spędziłem w Wilnie, trzeci w Kaliszu u Myszkowskiego i stamtąd zostałem wezwany do Warszawy do Teatru Nowoczesnego. Radość moja nie miała granic: taki nagły awans i pensja z 90 rubli podskoczyła na 200 rb! Później pracowałem w Teatrze Małym u K. Kamińskiego i K. Zalewskiego, w czasie pierwszej wojny w Teatrach Rządowych pod dyrekcją Śliwińskiego, potem w Teatrze Nowości — w operetce z Messalówną, w Rozmaitościach u Osterwy i 5 lat w rewii w Morskim Oku. W czasie wojny byłem kelnerem w barze, a od wojny mieszkam w Łodzi, bo mi się dom mój w Warszawie spalił. Grałem niedawno w filmie polskim „Ul. Graniczna" (z dziejów getta), nakręcanym w Pradze czeskiej, a poza tym wróciłem do komedii, najwięcej mi odpowiadającej. Jeżdżę na zaproszenia.

— A czy czuje się pan dobrze w Poznaniu?

— Doskonale. Przypuszczam, że gdybym miał ranę, to publiczność tutejsza, byłaby balsamem, która na pewno by ją zagoiła.

Tak to ładnie o nas powiedział Walter. Ale przecie słusznie mu się wdzięczność należy za to, że nas bawi codziennie i bawić jeszcze będzie w następnej, kapitalnej sztuce „Słomkowym kapeluszu". Zatem poznać go i podziwiać będzie miało sposobność całe miasto.

Ama

Świętosław Obretinow opowiada o muzyce bułgarskiej

Artyści bułgarscy — członkowie reprezentacyjnego radiowego chóru — którego występ sobotni wzbudził wielkie zainteresowanie, spędzili w Poznaniu tylko półtora dnia. Udało mi się jednak przychwycić w hallu Continentalu dyrygenta Świętosława Obretinowa i coś niecoś dowiedzieć się od niego o muzyce bułgarskiej i organizacji jej placówek odtwórczych.

Świętosław Obretinow mówi chętnie i po prostu. Daleki jest od wszelkiej blagi i przeceniania osiągnięć muzycznych swego kraju. Jeśli muzyka bułgarska nie zajęła dotychczas wybitnego miejsca w Europie i nie może się równać z muzyką, np. czeską, to wytłumaczenie tego faktu jest łatwe i jasne: naród 7-milionowy — dopiero w połowie zeszłego stulecia wyzwolony został z niewoli tureckiej. Z pieśni ludowych czerpią natchnienie dzisiejsi kompozytorzy: Kutiew, Pipkow, G. Dimitrow, Stajnow i sam Obretinow. Wyrabia się w ten sposób świeża, a bardzo swoista kultura artystyczna. Rozkwit muzyki bułgarskiej datuje dopiero od czasu wyzwolenia kraju przez Armię Czerwoną 9 września 1944 i ukonstytuowania się nowego Rządu. Od tej daty dopiero zaczyna się intensywna praca na polu organizowania sztuki i szkolenia talentów. Przed wojną nie miała Bułgaria żadnego zawodowego chóru, obecnie ma ich trzy. Jako pierwszy zorganizował się chór, który właśnie w Polsce bawi.

Swoiście zupełnie jest zorganizowana muzyka symfoniczna: dyrektor Wielkiej reprezentacyjnej Filharmonii w Sofii jest równocześnie dyrektorem pięciu orkiestr symfonicznych w innych miastach kraju. Tak więc administracyjnie i artystycznie podlegają placówki prowincjonalne stołecznemu ośrodkowi. Prowadzi tę wielką instytucję artystyczną Georgii Dymitrow, który studia muzyczne skończył w Polsce i tu też przez 10 lat pracował.

Przed wojną była jedna opera w kraju, obecnie jest ich trzy. Podlegają one poszczególnym dyrekcjom wraz z teatrami, z którymi są połączone. Przy każdej z nich są zespoły baletowe. Ale duże znaczenie w Bułgarii mają zespoły taneczne ludowe, objeżdżające kraj z regionalnymi narodowymi tańcami.

A oto nazwiska kilku lepszych śpiewaków: Michaił Popow — bas, światowej sławy, Krysto Brymberow — baryton, Georgi Bieliew — tenor, Nelly Karowa — sopran. Poza tym kilku wybitnych śpiewaków zaangażowanych jest na stałe w rozmaitych stolicach europejskich. Jednym z najsłynniejszych jest Rafaił Arje — bas, który uzyskał na zeszłorocznym konkursie śpiewaczym w Genewie pierwsze miejsce i pozostał we Włoszech jako solista i profesor śpiewu.

Ama

Andriolli. Zdemaskowanie Konrada Wallenroda.

PRZEGLĄD KULTURALNY

Jubileusz uczonego. Prehistoria

Nie wszystkim może wiadomo, że wielki uczony poznański prof. Józef Kostrzewski, został niedawno wyróżniony w Akademii Umiejętności, której sam jest członkiem, z okazji zbiegającego się z jej jubileuszem, 35-lecia swojej działalności naukowej. Pierwsza jego książka: „Wielkopolska w czasach Przedhistorycznych" ukazała się w roku 1923. Bibliografia prac jego od tej chwili wynosi około 600 pozycji, w tym dzieła wielkie i wyczerpujące: „Prehistoria Ziemi Polskiej" (od mezolitu do okresu wędrówek ludów), „The Prehistory of Polish Pomerania" (1936), „Prasłowiańszczyzna" (1946), „Kultura Prapolska" (1947) i inne. Niektóre przedwojenne prace tłumaczone były na język niemiecki i w tajnym wydaniu rozsyłane dla użytku władz niem. Toteż tylko szczęśliwym trafem uniknął aresztowania za okupacji, mimo poszukiwań gestapo.

Wybitna ruchliwość wykopaliskowa tegoroczna została z konieczności na okres zimowy przerwana. Najdłużej ciągnęły się prace na Ostrowiu Tumskim, gdzie kierujący nimi prof. Hensel odkrył imponującej i niespotykanej nigdzie grubości 30-metrowej, wał obronny zbudowany za czasów Mieszka Starego. Sława polskich wykopalisk oraz jej nauki na tym polu ściągnęła w minionym okresie, wielu wybitnych gości zagranicznych. Trzech Duńczyków spędziło na studiach w Polsce dłuższy czas, w tym dwa tygodnie w Biskupinie. Sekretarz francuskiego Towarzystwa Prehistorycznego — Jacques Mauduit i dyr. Obserwatorium w Greenwich — Jones, zwiedzili również Biskupin i szczegółowo Muzeum Prehistoryczne. Wszyscy podziwiali niezwykły wysiłek Polski przeprowadzania badań równocześnie w tak wielu punktach kraju. Obecnie zorganizowała dyrekcja Muzeum Prehistorycznego ciekawą i pożyteczną wystawę objazdową pod tytułem: „Wielkopolska w czasach przedhistorycznych". Otwarcie jej odbyło się w Gnieźnie, dnia 31. 10. Odwiedzi ona z kolei 44 miast Wielkopolski i szerzyć będzie, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej, wiedzę o mieszkańcach dawnych naszej ziemi, a także uświadamiać społeczeństwo, o konieczności ochrony i poszanowaniu zabytków.

Czwartki literackie — Wieczory dyskusyjne w IMCE

Tradycyjne „Czwartki literackie" w sali Starego Ratusza, weszły w swój stały rytm. Ostatni autorski: ROMANA BRANDSTAETTERA był czwartym z rzędu dotychczasowego przeglądu twórczości samych autorów poznańskich, członków tutejszego Oddziału Związku Literatów. Cykl zainaugurował EUG. MORSKI, znawca i tłumacz literatury rosyjskiej. Prelekcja jego na ten temat ilustrowana była recytacją fragmentów poezji rosyjskiej w tłum. Morskiego i innych, a w wykonaniu artystów dram. Drugi z kolei wieczór wypełniony był odczytem prof. KUBACKIEGO prez. Oddz. Związku Liter., a poświęcony twórczości Mickiewicza z okazji wielkiego roku mickiewiczowskiego — 150-lecia jego urodzin. Na trzecim WOJC. BĄK odczytał trzy opowiadania. Każde z nich było krótkim studiem psychologicznym. Oba odczyty dyskusyjne w Imce na tematy teatralne, ściągnęły tłumy słuchaczy i wzbudziły wielkie zainteresowanie. Na ostatnim odczycie W. Bąk wygłosił wymowną, pełną temperamentu i pasji obronę przedstawienia „Snu nocy letniej" w interpretacji dyr. Horzycy.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje zarząd Imki, który zainicjował te żywotne i sympatyczne wieczory dyskusyjne i ma zamiar nadal je kontynuować. Następny 15 bm. będzie poświęcony zagadnieniom urbanistyki m. Poznania z referatem inż. Czarneckiego.

O życiu artystycznym ZIEMI LUBUSKIEJ

Niestety, nie wszyscy ludzie zdają sobie sprawę z ogromnego znaczenia sztuki, odczuwając to raczej podświadomie. Twórczość artystyczna przejawa się poprzez wszystkie czasy i u wszystkich ludów, od najprymitywniejszego człowieka epoki dyluwialnej, który zdobi jaskinie, przez Egipt, Grecję i Rzym do naszych czasów.

Jeżeli interesujemy się dzisiaj Atenami czy Florencją to tylko z powodu sztuki, która osiągnęła tam wyżyny. Miejscowości, nieprzejawiające aktywności kulturalnej, nie są atrakcyjne i popadają w niepamięć. Przeważnie w dużych stolicach istniało właściwie zrozumienie sztuki i dlatego tam, powstawały większe skupiska artystów.

Ziemia Lubuska, nie mając dużych ośrodków miejskich, nie ma specjalnie korzystnych warunków do stworzenia bujnego życia kulturalnego. Pewien wyłom w tej ogólnie panującej opinii zrobili plastycy lubuscy, po dwóch wystawach zorganizowanych w ciągu roku. Głównie jednak przyczyniła się do zmiany opinii, zorganizowana w czasie wystawy wrocławskiej Wystawa Plastyków Ziem Odzyskanych, w której także wzięli udział plastycy lubuscy. Niefortunnie umieszczona w lokalu Z.Z.P.A.P. przy ul. Ofiar Oświęcimskich, oddalona od terenów wystawowych, mimo tego przyniosła plastykom lubuskim duży sukces, wysuwając ich przed większe ośrodki jak np. Gdynię.

W tym sukcesie walne zwycięstwo odnieśli plastycy gorzowscy, gdyż na 6 prac, które weszły na wystawę z Ziemi Lubuskiej, Gorzów jest reprezentowany 5-ciomą pracami, co nakłada na ojców miasta pewne zobowiązania. Przy tym trzeba pamiętać, iż z całych Ziem Odzyskanych było około 70 prac wybranych spośród 500. Gorzów reprezentuje: Kononowicz 2 pracami, Korcz 1 pracą, Szuman 2 pracami, poza tym wystawia Kowalski z Międzyrzecza. Sukces jest tym większy, że przed rokiem plastycy lubuscy, nie przejawiali żadnej aktywności. Było wprawdzie kilku członków Związku Zawodowego lecz poza lokalnymi wystaw nie urządzali. Były to wystawy indywidualne, jak Korsaka i Szumana w Gorzowie, Sokołowskiej w Zielonej Górze.

I Wystawę Plastyków Ziemi Lubuskiej zorganizowano pod koniec 1947 roku w Gorzowie z inicjatywy wicewojewody Kroenkego. Wystawa ta miała wpływ decydujący na dalszy rozwój ruchu artystycznego w dziedzinie plastyki. Nie mówiąc już o tym, że jest silnym bodźcem dla poszczególnych artystów, z których niejeden czuł się osamotniony, niepotrzebny i przeżywał kryzys wewnętrzny, wystawa daje po raz pierwszy artystom sposobność zapoznania się ze sobą, usłyszenia oceny własnej twórczości i ustalenia wytycznych dalszep pracy, opartej już na szlachetnej rywalizacji, której celem ostatecznym będzie osiągnięcie jak najwyższego poziomu artystycznego.

Zadecydowano wtedy, iż wystawy Plastyków Lubuskich odbywać się będą dwa razy do roku, a mianowicie w grudniu w Gorzowie i w maju w Zielonej Górze. Celem każdej wystawy ma być pokazanie społeczeństwu kilkumiesięcznego dorobku, żyjących wśród nich artystów i pogłębienie przez to kontaktu między społeczeństwem a artystami. Prócz tego wystawy, będąc sprawdzianem pracy artystów, powinny być połączone dla nich z pewną korzyścią materialną. Sprawą ufundowania nagród, zorganizowaniem akcji zakupów i sprowadzeniem komisji artystycznej Z. Z. P. A. P., celem dokonania oceny i selekcji prac, zajmie się powoływany każdorazowo, na szereg tygodni przed wystawą Komitet Wykonawczy Wystawy.

Nie mamy zamiaru omawiać I, ani II Wystawy Plastyków Ziemi Lubuskiej, chcielibyśmy tylko zaznaczyć, że po każdej wystawie ilość członków Z. Z. P. A. P. wzrasta — i gdy w grudniu 1947 roku było tylko 5 związkowców, w chwili obecnej Ziemia Lubuska ma ich 11. Warunki materialne poszczególnych artystów, nie są świetne. Prawie żaden z nich nie może się poświęcić wyłącznie sztuce, lecz zmuszeni są do pracy zarobkowej w urzędach lub instytucjach. Wszystkie wolne godziny, nie zważając na zmęczenie, poświęcają jednak pracy twórczej, która jest właściwym celem ich życia. Ludzi tych można nazwać prawdziwymi fanatykami sztuki. Plastycy lubuscy czynią starania w kierunku utworzenia własnego oddziału Z. Z. P. A. P. z siedzibą w Gorzowie, co przy wzrastającej ciągle liczbie członków związku, wydaje się już bliskim zrealizowania.

W grudniu br. nastąpi otwarcie III Wystawy Plastyków Ziemi Lubuskiej, która na pewno spotka się z wielkim zainteresowaniem całego społeczeństwa. W połowie stycznia wystawa zostanie przewieziona do Międzyrzecza, po czym jest w projekcie przesłanie jej do Warszawy. Mamy nadzieję, że wystawa ta przyniesie naszym artystom dalsze sukcesy, czego im z całego serca życzymy. **Nina Keszycka**

nosić, które pół dnia z psem po św. Marcinie chodzą wte i we wte, a drugie pół dnia kawy ze śmietaną w kawiarniach piją? A mnie młodej dziewczynie toś myślał pan, że nie wolno? A pan nie gap się na moje nogi, tylko mów pan, coś narobił? Coś pan dobrego wyczynił? Patrzcie ludzie jaka dziura!

— Cebula nie dziura!

Ukryty w tłumie głos pęcznieje śmiechem.

— O! Jeszcze z człowieka drwią. A to wszystko przez tego ofermowatego bubka. Panie! Panie! Ja bym panu palnęła w oczy pra... prawdę, żeby... nie... te... te... lu... dzie, ja bym ooo —

Krystyna płacze. Płacze ze złości, płacze z rozpaczy, z żalu nad podartymi nylonami, nad zawiedzionymi nadziejami podbicia świata.

Sprawca nieszczęścia patrzy na łzy Krystyny, gotów wtórować jej z żalu nad niepowetowaną stratą.

— A może oczka podciągnąć? — mówi olśniony własnym pomysłem.

— Swoje pan podciągnij! — buczy dziewczyna. — Oczka! Oczka! Dziura jak taca, a on o oczkach mówi. Co ja teraz zrobię, sierota?

Tramwaj staje. Krystyna nie wyskakuje z niego swobodnie, wychodzi ciężko, powoli, cała we łzach i skamieniałym wzrokiem ogląda zniszczoną pończochę.

— No i całe nylony do maku, psia kość słoniowa — szepce przez łzy.

Obok Krystyny kroczy nieszczęśliwy młodzieniec. Miętosi czapkę w spoconych dłoniach, uśmiecha się żałośnie i cichym, nieśmiałym głosem proponuje.

— Niech... już... pani nie... płacze, bo... ja... chętnie... najchętniej... ja ja pani... odkupię te pończoszki!

— Co???

— A tak. Tak! Pani... prze... ze... mnie płakała. A... ile.. one... „uczynią"?

Krystyna patrzy z ukosa na tego który doprowadził ją do łez, a potem łagodnie, lecz jeszcze przez łzy mówi — trzy —

Nogi pod nieszczęśliwcem zachwiały się — ile??? — szepce przerażony.

— No mówię, że trzy — odpowiada Krystyna.

— Pani... pani... to ja muszę za te pieniądze co najmniej tydzień przepracować...

Krystyna wchodzi w boczną ulicę, aby ludzie nie przypatrywali się jej podartym nylonom. Teraz to już wie, że pół godziny temu mniej ją obserwowali, niż w tej chwili, kiedy strzęp pończochy na lewej stopie rzuca się jaskrawo w oczy każdemu. O krok za dziewczyną podąża młodzian, a Krystyna mówi:

— A pan myślałeś że mnie z nieba spadły te trzy „kawałki"? Cztery miesiące odkładałam po trochu z tygodniówki! Cztery miesiące! Panie kochany!

Nieszczęśliwiec ma bardzo znękaną minę. Po bohatersku decyduje się jednak jak prawdziwy dżentelmen.

— Niech się dzieje co chce, a ja... jakem Tadeusz Marciniak naprawię szkodę. Odkupię pani te pończochy! I tak jak pani, będę na nie odkładał z tygodniówki.

Krystyna oddycha z ulgą, bo słyszy pocieszające słowa.

— I znów panna będziesz miała te melony... czy jak im tam...

Teraz to już się Krystyna śmieje i poprawia, że melony. a nylony to zupełnie inna rzecz.

— To już ja pannę odprowadzę do domu? — powiada szarmancko pan Tadeusz.

Po upływie trzech miesięcy Krystyna otrzymała nylony.., i serce Tadeusza.

TEODOR ŚMIEŁOWSKI

Przyjdź...

Przylatują na nowo te chwile,
Które płoszy lokomotyw gwizd,
A na oknie młodości motylem,
Usiadł nagle tęsknoty mej list...

Zaplątało się Twoje spojrzenie
I wyczuwam drżenie Twoich rąk,
Już na drobne swych marzeń nie zmienię,
Śmiałych pragnień umieszczę w nich lont.

*

Choć nie sięgnę Cię dłonią stęskniona,
Gorzkie myśli Twym wspomnieniem spłoszę,
W mrok odeszłaś z kół stukotem — Żono,
Księżyc srebrzył na rzęsach Twych rosą.

Lecz po szynach powrócisz tych samych,
Nieuchwytna iskra w wirze gwiazd,
A na torze do szczęścia otwartym,
Sygnał wskaże drogi wolnej wjazd.

Podróż życia wyścielesz uśmiechem,
Promienniejszym od porannych zórz,
I otulisz troskliwym oddechem
Czoło chmurne od życiowych burz.

*

Semaforów już światła pogasły,
W drzewach rozwił pajęczynę świt,
Czekam na Cię w nadziei upartej,
Cichnie we mgle lokomotyw gwizd...

Śmiech to zdrowie

Hej, człowiekowi dziś stwierdzić miło,
Że świat do wyższych rzeczy już dorósł,
Bo się niezwykle wysubtelniło
Poczucie humoru.

Na gębach dawniej widziałeś półmrok,
Z nosem zwieszonym żyli ludkowie,
A dziś ze śmiechu mało nie umrą,
Gdy żart ktoś powie.

Rodzinka w wieczór, starym zwyczajem,
Kiedy przy lampie zasiada czasem,
To aż rozkosznych spazmów dostaje,
Czytając prasę.

Bo przecież znika największa boleść,
Smutki już twego serca nie korcą,
Gdy świat rozśmiesza Oleś i Boleś,
Lub Wicek z Florcią.

Igrce, zabawy masz znakomite,
Tak jakbyś siedział w najlepszym z kin,
Gdy Śliwka stroi figle swe, czy też
Furdyga i Syn.

Nieraz w komedii facet się trudzi
By kogoś kopnąć (gdzie? rzec się wzdragam)
No, oczywiście, zaraz wśród ludzi —
Śmiechu huragan.

Jest „podwieczorek przy mikrofonie".
I oto głosik konferansjera
Dowcip ci poda w tak pięknym tonie,
Że cię rozbiera.

Idąc ulicą człowiek niemłody
Potknie się nagle o kamień bruku —
Wnet ubawione przechodniów trzody
Rżą do rozpuku.

Ba! różne bowiem są w śmiechu gusta
I rozmaitych humor praw słucha,
Choć zawsze równo rozszerza usta
Od ucha do ucha.

I mnie się także na dowcip zbiera,
Śmiech mi serdeczny łzy z ócz wyciska,
Kiedy pomyślę, z czego się nieraz
Śmieją ludziska... MIK

Zawikłane koligacje

Ożeniłem się z pewną wdówką. Dawna wdówka, a obecnie moja żona, miała dorosłą pasierbicę. Mój ojciec rozkochał się w mojej pasierbicy i ożenił się z nią. Tym sposobem moja żona, synowa mego ojca, została teściową, czyli świekrą swego teścia, pasierbica zaś moja jest dla mnie macochą, a ojciec mój względem mnie, przez swoje ożenienie, został moim pasierbem. Macocha moja, pasierbica mojej żony, powiła syna, który mi jest bratem, bo synem mego ojca i mej macochy; ale, że on zarazem jest synem naszej pasierbicy, więc moja żona została jego babką, a ja dziadkiem przyrodniego brata. Moja żona powiła mi także syna, zatem moja macocha jest jego przyrodnią siostrą i zarazem babką, a mój ojciec, jako mąż siostry mego syna, jest szwagrem mego dziecka. Koniec końcem ja jestem bratem mego własnego syna, jestem szwagrem mojej matki, moja żona jest ciotką własnego syna, mój syn jest wnukiem mego ojca — a ja w dodatku jeszcze jestem sobie własnym dziadkiem.

(Em-Ka)

JÓZEF BARANOWSKI

Marek

— Cicho Ula, nie płacz — uspokaja siostrę brat Marek. Lekarz mówił, że niedługo wyzdrowiejesz. Pójdziemy wówczas na piękną, daleką przechadzkę. A teraz nie myśl o niczym i staraj się zasnąć a ja pójdę do naszego ogrodu i przyniosę tobie coś pięknego. Sprawię tobie miłą niespodziankę, z której się bardzo ucieszysz.

— Zanim wyzdrowieję, opadną z drzew wszystkie liście i nie nacieszę się jesienią, zbieraniem liści i kasztanów. A cóż mi przyniesiesz Marku — zapytuje nieśmiało Ula. Pragnęłabym trochę słońca i kwiatów. Nasze pelargonie już dawno powiędły i wiatr obrywa liście z rozłożystego klonu. Teraz widać małą, pustą uliczkę i zielony parkan, a nad ulicą niebo pełne chmur.

Gdy wyzdrowieję Marku, pójdziemy do miasta i kupię tobie złote guziki do mundurka szkolnego.

Marku, powiedz mi tylko, czy ty wiesz, co to jest smutek?

— Nie wolno tobie tak myśleć, Ula. Mamusia gniewa się na ciebie, gdy jej o tym wspominasz.

— Jestem ciekawa, jaką barwę ma smutek. Jeżeli jest zwątpieniem radości, to należało by nie pisać w książkach o smutku. Czytałam kiedyś, że czym więcej poznajemy jego głębię, tym prostszą jest nasza prawda życia. Nie rozumiem tego Marku, a ty?

— Zaśnij Ula i nie myśl już o tych sprawach. Powrócę do ciebie za chwilę.

— — — — — — —

Marek pchnął ogrodową furtkę, przez którą przebiegł wiatr z brązowym szelestem liści. Powietrze jest duszne i pełne zapachu jesieni.

— Przyobiecałem Uli, że sprawię jej miłą niespodziankę. Dziś napiszę dla niej wiersz — myśli Marek.

Nie pisałem dotąd wierszy, ale słyszałem, że można je odnaleźć w ciszy.

Cisza jest szeroko rozlanym jeziorem, pełnym szklanych oddźwięków, ledwo dosłyszalnych, a na jej dnie spoczywa myśl wiersza. Jezioro ciszy powinno być pokryte słońcem, które pragnę podarować Uli, a kwiatami wiersza to nasze myśli własne.

Kiedy Marek zwrócił się pewnego dnia do kolegów szkolnych z zapytaniem od czego ma rozpocząć wiersz, wybuchnęli wszyscy głośnym śmiechem, a jego profesor w ogóle nie radził Markowi zajmować się poezją.

— To błędna ścieżyna, mój chłopcze. Wiersze? Cóż, każdy je piszę, lecz nikt nie czyta. Czeka na ciebie piękniejsza droga. Droga szeroka jak świat. Nauka — która jest niewyczerpaną księgą życia.

Nie przypadły Markowi te słowa do gustu. Dlaczego wiersz ma być błędną ścieżyną. Tego nie potrafił pojąć. Przecież dobra poezja, to zaszczytna prawda, która promieniuje twórczymi myślami.

— Mimo wszystko, napiszę Uli wiersz, mój pierwszy wiersz.

Marek błądzi po wilgotnej ścieżynie i czeka na ciszę. Wiatr strąca liście z rozłożystych kasztanów i na rozpiętych strunach słońca gra pożółkłą pieśń jesieni.

— Gdybym potrafił zobrazować słonecznym słowem melodię wiatru, mógłbym podarować Uli piękny wiersz. Brak mi tylko słów. Melodia jest łatwą do zapamiętania. Wśród wieczornej ciszy usłyszę ją tym wyraźniej. Wystarczy przybrać ją w kolor liści, albo w dojrzałe berberysy i powstałby wiersz. Wówczas nie potrzebowałbym się powstydzić przed szkolnymi kolegami, a Uli sprawiłbym miłą niespodziankę.

Lecz z jakiej otchłani myśli należy wydobyć słowa. Dlatego cisza jest tym wyraźniejsza, że nie odróżnisz w niej nawet szelestu nocy, z pewnością dlatego, żeby niezdolną była spłoszyć narodziny słów.

Marek wszedł do drewnianej altany, w której za stołem przysiadł wieczór. Wydobył kartkę i ołówek i wsłuchał się w ciszę.

— Żeby tylko nikt mnie nie zawołał, żeby Ula spała spokojnie, a matka nie zatroszczyła się o mnie — myśli Marek.

Właśnie wiatr zmęczony jesienną zabawą i przewlekłym tańcem, odpoczywał w pożółkłych trawnikach, a po drugiej stronie, nad dalekim wzgórzem srebrzył się księżyc.

Ołówek Marka nakreślał pierwsze słowa przybrane w ciszę i melodię myśli.

...dam tobie odblask słońca i kwiaty. Gdy spojrzę słońcem w serce twoje, a w myśli — ubiegłym latem — —

Marek wpatruje się w ogród, w ciemne plamy wieczoru.

— Skąd odnalazłem te słowa? I czy mogę nazwać je wierszem? Dopomóż mi Ula, siostrzyczko kochana. Dopomóż mi ciszo jesienna.

Lecz daremnie czekał Marek na ciszę. Chłodny wiatr z wzniosłym poszumem pieśni, strącał powiędłe liście. Z troską serdeczną i smutkiem począł je zbierać Marek i układać w kolorowy bukiet kwiatów. W obcisłym mundurku szkolnym, z liśćmi w ręku, czynił wrażenie pokrzywdzonego dziecka.

A gdy stanął przed Ulą i wręczył jej jesienny dar, słoneczny uśmiech siostry miał być jego nagrodą.

— A teraz moja niespodzianka, którą przyobiecałem tobie. Napisałem dla ciebie wiersz. Posłuchaj:

I wolnym, drżącym od wzruszenia głosem odczytał Marek swój wiersz jesienny.

— Jesteś kochanym, dużym dzieciakiem Marku — uśmiechnęła się Ula. Jak pięknie wyglądają te liście. Na drugi rok musisz otrzymać nowy mundurek szkolny. Wyrosłeś już na dużego chłopca. Taka jestem śpiąca, kochany braciszku. Poproś do mnie mamusię Połóż się spać Marku. Już późno.

— A mój wiersz podobał się tobie Ula?

Wymówił to raczej szeptem tak cichym, że nie usłyszała jego słów. Z kartką w ręku wyszedł na próg domu i rzucił ją w mrok wieczoru.

— To był mój pierwszy wiersz Ula, napisany dla ciebie, a ty, a ty...

Z trudem połykał łzy, które cisnęły mu się na usta. Była taka cisza, że słyszało się wyraźnie płacz Marka i szept nocy zabarwionej jesienną melodią wiersza...

Z teki karykaturzysty

PIOTR MELCER
Kierownik Pogotowia Ratunkowego

— Dlaczego chcecie żebym wam wystawił świadectwo?
— Panie dyrektorze, pan jest jedynym człowiekiem, który może zaświadczyć, że w czasie mego 2-letniego pobytu w więzieniu nie widział mnie pijanym...

Moja żona chce koniecznie mieć modną sylwetkę i twierdzi że taka falbanka z tyłu znakomicie poszerza biodra.

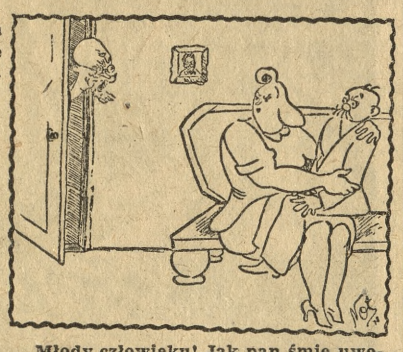

Młody człowieku! Jak pan śmie uwodzić moją córkę!!

— Dalej Karolku... pomóż mi!! Może da nam się to „pudło" jeszcze uratować!!!

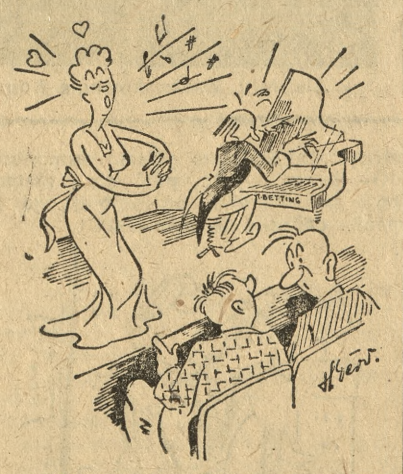

— Dlaczego ta solistka zamyka oczy ...gdy śpiewa??...
— Widzisz... ona nie może patrzeć, jak słuchacze cierpią...

„Niezawodny środek na katar"

Ambaras wynika z lektury dziennika

Panteleon ma w zwyczaju Czytać dziennik swój w tramwaju.

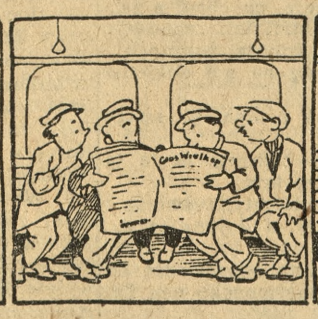

Ale ludzi tłum niestety Nos pakuje mu w gazetę.

— „Całkiem mnie wygniotą, zbóje! — Ledwo własną skórę czuję.

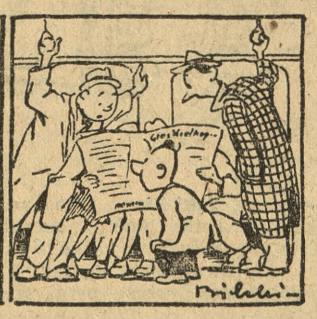

Bierzcie zatem „Głos" — i kwita Będę sobie z dołu czytał."

Jak uszczęśliwiać innych i samemu być szczęśliwym?

Szekspir powiada: „Człowiek pełen pychy, przyodziany w kusy autorytet, wyprawia pod niebem tak fantastyczne szprynce, że aż aniołowie płaczą ze śmiechu".

Popróbuj więc stosować zasadę wysokiego cenienia bliźnich. Po co masz szukać daleko: wypróbuj ją w domu na żonie, która dalibóg musiała mieć kiedyś jakieś zalety, skoroś się z nią ożenił. Ile czasu upłynęło, drogi Czytelniku, odkądeś ją za co pochwalił? ile? No powiedz?

Oto parę wyjątków z doskonałego artykułu świetnej dziennikarki Doroty Dix na ten temat:

„Jeśli nie potrafisz mówić rzeczy przyjemnych, nie żeń się. Chwalić swą przyszłą żonę przed ślubem jest miło, chwalić ją po ślubie jest niezbędnym i stanowi warunek twego bezpieczeństwa. Małżeństwo — to pole popisu dla dyplomacji nie dla otwartości. Jeśli pragniesz jeść smacznie co dzień, nie gań sposobu w jaki żona twoja prowadzi gospodarstwo i nie czyń porównań pomiędzy nią a twoją matką na niekorzyść małżonki. Przeciwnie, chwal zawsze jej metody i winszuj sobie głośno, że udało ci się ożenić z jedyną na świecie kombinacją Venus, Minerwy i kucharki. Jeśli befsztyk będzie spalony na popiół, lub podobny do rzemienia, nie skarż się, lecz zauważ, że dziś obiadowi brak trochę zwykłej doskonałości wykonania. Jeśli tak będziesz postępował, żona gotowa będzie spłonąć całopalnie na ołtarzu kuchennym, byle dorosnąć do twego idealnego o niej wyobrażenia... Ale nie zaczynaj zbyt obcesowo nowego systemu, bo obudzisz jej podejrzliwość."

„Mów z człowiekiem o nim samym, powiada Disraeli, mów z nim o nim samym, a będzie cię słuchał godzinami".

A więc cierpliwy czytelniku, oto aż sześć sposobów na to, aby cię ludzie polubili:

Interesuj się szczerze innymi ludźmi.

Uśmiechaj się.

Pamiętaj, że dla każdego jego nazwisko jest najsłodszym i najważniejszym z dźwięków.

Bądź dobrym słuchaczem. Zachęcaj innych, aby mówili o sobie.

Mów z każdym o tym tylko, co mu jest znane i co go zajmuje.

Usiłuj wzmagać w każdym poczucie własnej wartości — czyń to szczerze.

*

Uszanować godność osobistą człowieka! Jak niewielu z nas o to dba. Depcemy jak osły po uczuciach innych ludzi, starając się przeprowadzić swój punkt widzenia, wynajdując wszędzie błędy, grożąc, krytykując dziecko lub podwładnego publicznie wobec innych, nie dbając o ich zranioną dumę. A wszędzie parę chwil namysłu, parę dobrych słów, istotne zrozumienie położenia tamtej strony tak bardzo przyczyniłyby się do wyjęcia żądła z sytuacji.

Znałem ludzi, którzy posiadali niesamowity wprost talent jednania z sobą przeciwników, gotowych skoczyć sobie wzajemnie do gardła. Jak taki arbiter to robił? Przede wszystkim skrupulatnie szukał tych wszystkich faktów, które o każdej ze stron świadczyły korzystnie, podkreślał je, chwalił, wysuwał naprzód i — jakikolwiek miał być układ — nigdy tak nie kierował sprawą, by tylko jednej ze stron przyznać rację, a drugą upokorzyć, bowiem głównym zadaniem arbitra jest „ocalić twarz" obu stron.

U ludzi prawdziwie wielkich nikt nie znajdzie tendencji przesadzania triumfów i rozpadania się nad nimi.

*

Najkardynalniejszym prawidłem przy postępowaniu z bliźnimi jest następujące: zawsze dawaj każdemu do zrozumienia, że uważasz go za osobę ważną. Jeżeli się czytelniku, będziesz trzymał tego prawidła, prawie nigdy nie narobisz sobie w stosunkach z ludźmi kłopotu, natomiast zjednasz sobie niezliczonych przyjaciół, ale z chwilą, gdy je złamiesz, wpadniesz w istny kołowrót klęsk. Choć już wspominałem poprzednio o tej regule, wracam do niej jeszcze, jest to bowiem kamień węgielny życia.

Najgłębszą potrzebą człowieka jest potrzeba, by go ceniono wysoko.

(Z książki Dole Carnegie — streszczonej przez Kazimierę Iłłakowiczównę).

Odpowiedzi Działu Literackiego

111 Poznań. Pewne zaczątki talentu są. Radzimy jeszcze dużo nad sobą pracować, szczególnie gdy chodzi o pogłębienie problematyki. Dziękujemy za zaufanie do naszego pisma.

E. Janotówna. Ponieważ wchodzimy już w okres jesienno-zimowy, na ten temat raczej nie reflektujemy.

Jerzy Musiał, Poznań. Redakcja posiada stałego recenzenta muzycznego, dlatego nie możemy wydrukować nadesłanej przez Pana recenzji.

Wł. Tuszański, Łódź. Nie skorzystamy.

„Em-Ka". Kilka anegdotek zachowujemy w teczce. Fraszki na ogół słabsze.